Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 18 czerwca. Nr. 24.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

W lesie.

(Cykl sonetów.)

(Dokończenie).

VII.

Namiot z zieleni ciemny. jednolity
Rozpięty w górze: gdzieniegdzie jedynie
Wdzięcznie się sosen rozchylają szczyty,
Strop odsłaniając, w którym oko ginie.

Jak miło dumać w tej cichej krainie,
Gdzie duch nie czuje się troską przybity;
Gdzie w nieskończoność myśl stęskni ona płynie,
Stwarzając nowe dla siebie błękity.

Tu wzrok bieg życia może śledzić wszędzie,
Przyjrzeć się może pracującej mrówce
I owadowi, który sieci przedzie.

Czekając ofiar na chwiejnej placówce...
Lub wzlecieć może za świata krawędzie,
Myśląc o przyszłej, dalekiej wędrówce.

VIII.

Jak często duch mój ku przyszłości rwie się
I w ciszy pragnie skrzydła swoje zwinąć!
Jak często chciałby gdzieś, w samotnym lesie
Przypaść do ziemi i w snach się rozpłynąć!

Wszystko, co żyje — w dni krótkim zakresie,
Choćby wbrew woli — musi w końcu zginąć.
Prąd życia dalej, wciąż dalej nas niesie
Nad przepaść, której nie można ominąć.

Widząc, że próżna byłaby to praca,
Wstecz zwrócić kroki — duch mój nie rozpacza.
Ale ku jasnym chwilom twarz odwraca.

I leci w przeszłość myślami tułacza;
I wspomieniami drogę sobie skraca
Drogę, po której w głąb bytu się stacza.

IX.

Ach! I z was także, o dęby o sosny,
Zostanie kiedyś tylko kupa zgliszczy;
Jeśli nie burza, to czas was wyniszczy,
Mimo oporu i wysileń wiosny.

Umilkną szumy, ścichnie śpiew radosny,
Wyschną strumienie i rosa, co błyszczy;
Cisza zalegnie — tylko wiatr zaświszczy,
Hymn — hymn zagłady głuchy i żałosny.

Próżny wasz opór! Daremne wysiłki!
Czas, ten niszczyciel rozsypie was w pyłki
I na rozległe pustkowia rozdmuchnie —

Wspólna nas jedna oczekuje dola,
Co życie nasze, to ziemskie, zespola:
Rodzić się, wzrastać — i rozsypać w próchnie.

X.

Ale w wszechświecie nic nigdy nie ginie,
Wszystko ma tylko swój pozorny schyłek;
Wszystko do morza wspólnego wciąż płynie,
Skąd życie czerpie znów nowy zasiłek.

Nic, nic nie ginie! Nawet drobny pyłek
Jest użytecznym w tej świetnej tkaninie!
Wiecznie do nowych przeznaczony zsyłek,
W nowe się kształty w przyszłości rozwinie.

Niech więc pozorna śmierć was nie przestrasza,
O, wy wspaniałe, wy potężne lasy!
Każdy wasz atom, każda cząstka wasza

Kiedyś w przyszłości znów nabierze krasy.
To, co dziś mroźny wicher porozprasza
Jutro znów z życiem rozpocznie zapasy.

J. Klemensiewicz

Z wycieczki do siedziby „duchów"

(Ciąg dalszy).

Widmo świetlane poczęło znikać. Głowa wpadła pomiędzy ramiona, te się obniżały z całą postacią ku dołowi i wreszcie zamieniwszy się w mały obłoczek znikło wszystko u nóg medjum w podłodze.

Po chwili pani Jur... podniosła się i udała za kotarę, gdzie spacerowała, rozmawiała z kimś niby, odpowiadając na sadawane pytania Niekiedy podrygiwała w razie weselszej melodji, gra bowiem nie ustawała podczas całego seansu. Za chwilę weszliśmy tam całą gromadą. Medjum pochylone na poręczy szezlongu pogrążone było w transie. P. Munster paru magnetycznemi pociągnięciami przywrócił je do przytomności.

Drugie medjum pani Jur... nie była dnia tego usposobioną do transu, na tem więc zakończyliśmy, zwłaszcza, że dobrze już było po północy. Goście się rozeszli, a nam wniesiono do tegoż pokoju natychmiast łóżka żelazne, jak to było w programie.

Nazajutrz mieliśmy posiedzenie z drugim medjum panią Jur... nie mniejszej siły i większym spokojem w zachowaniu się podczas transu. Zapada ona weń przy spiewie. do którego przygrywa sobie na gitarze, mówiąc nawiasem, śpie-

wie bardzo dźwięcznym sprawiającym miłe wrażenie. Gdy gitara uśpionej pani Jaw.. z rąk wypadła, wstała ona i położyła za kotarę. Gdy rozchylała zasłony, parę srebrzystych gwiazd wielkości dużego grochu przeleciało ponad jej głową, a gdy się znajdowała w głębi pokoju, nie przestawały coraz częściej i liczniej ztamtąd ku nam wylatywać. Prześliczny widok, zwłaszcza oczom naszym się przedstawił, gdy pani Jur... stanąwszy w przecięciu firanek, literalnie osypaną była całym gradem prześlicznych iskierek, co odbijając od jej bluzki ponsowej, czyniło efekt wspaniały.

Zjawiska świetlanych postaci występowały jak i przy pierwszem medjum, z tą jednak różnicą, iż gdy pani Jaw... odchyliła którymś razem jedną połę kotary i stała w przecięciu, dostrzegliśmy najwyraźniej postacie defilujące po za nią, nie całe co prawda, bo medjum je sobą zakrywało. Gdy wyszła na środek pokoju, widmę świetlane próbowało iść za nią, lecz skończyło się na tem, żeśmy obserwowali je zaglądające do nas z po za zasłony. Dał się słyszeć przytem szelest, ruch mebli w głębi saloniku i parę drobnych przedmiotów wyleciało ku nam. Jednocześnie zauważyliśmy chwianie się na gwoździu jednej z wiszących obok na ścianie fotografji. Obrazek ów wreszcie przekręcił się zupełnie w jedną stronę i tak wisiał czas jakiś, aż znowu zaszeleściało i ramka wróciła na miejsce.

Na tem się ograniczył seans drugi. Rozbudzona pani Jaw... ledwo pożegnawszy się z nami pobiegła do dzieciaków, które, śpiesząc na seans, nie dobrze uśpiła, mogły się więc pobudzić.

Następnych dni mieliśmy w dalszym ciągu posiedzenia, których wszystkich razem było sześć. Szczegółowo je opisywać nie sposób. Jedno z nich było bardzo słabe, bez objawów prawie, co przypisywaliśmy niedezpozycji psychicznej jednego z medjów. Pani Jur... dnia tego otrzymała list z Petersburga od dra Siemionowa, który w imieniu redaktora Aksakowa angażował ją na seanse, proponując wcale pokaźnie honorarjum. Przyniosła nam ów list i radziła się, co ma czynić. Szczerześmy namawiali, by się zdecydowała. Ona się jednak wachała, bo nie była pewną, czy zmiana miejsca i otoczenia nie będzie miała wpływu na jej medjalność. „Niechbym się zobaczyła razem z postacią zmaterjalizowaną na jednej fotografji, powtarzała, tobym wtedy pojechała". Skorzystaliśmy z wypowiedzenia owego życzenia i wzięliśmy od niej słowo, że wyjedzie dnia którego da się nam odfoografować w transie.

Cała więc konferencja tak zdenerwowała nasze medjum, że dnia tego a raczej wieczoru, seans mógłby się liczyć za nieudany, gdyby nie jeden jedyny objaw większej wagi. Otrzymaliśmy pismo bezpośrednie. Wynikło ono w sposób nastepujący:

Przed owym niefortunnym seansem pomiędzy dwie tabliczki szyfrowe włożyliśmy nasze wizytowe bilety. Jedna z tabliczek otoczona była brzegiem tekturowym, druga wchodziła w nią jak do pudełka. Związawszy obie te tabliczki mocną nitką i przypieczętowszy z obu końców naszą pieczątką, położyliśmy je na stole, w okolicy medjów. Gdy tak bezowocnie, bez cienia jakiego bądź objawu przesiedzielismy spore pół wieczoru i po seansie szukaliśmy oczyma po pokoju czegoś niezwykłego, ktoś przypomniał tabliczki Zabieramy się do nich skwapliwie (co wszakże nie przeszkodziło sprawdzić nietykalność pieczęci), rozwiązujemy i o dziwo! na każdym bilecie znajdujemy napis: „N. B." Odrobiny ołówka do wnętrza nie kladliśmy. Zdumienie nie miało granic!...

Nie mniej ważne objawy podczas reszty posiedzeń, których opis szczegółowy zawiele zabrałby miejsca, złożyły się fakty następujące:

Któregoś razu jedno z medjów, podobnie pani Jur... wyszedłszy do nas naturalnie w transie, poczęła czegoś wokoło siebie szukać. Padł jej wzrok na gitarę, stojącą pod piecem. Ujęła ją i poniosła z sobą w głąb salonu, gdzie się znajdowało już drugie medjum. Za chwilę obie żywo do nas przychodzą i każą się trzymać za ręce. Gdyśmy zadość uczynili żądaniu, dzwonek stojący na stole w końcu pokoju zaczął dzwonić gwałtownie i przewracać się na wsze strony. Gdy to po paru minutach ustało, dał się słyszeć dźwięk gitary niebarmonijny z razu, następnie jednak jak najakuratnicj zabrzmiał akompanjament do gry pani Munster nieodejmującej rąk od klawiatury podczas całego seansu, trwającego godzin trzy czasami. Pedanterja p. Munstera co do kontroli objawów nie miała tu granic. Polecił żonie wstać od fortepianu i zbliżyć się do nas. Gdyśmy więc, mając panią u boku w dalszym ciągu, medjów z rąk nie wypuszczali, gitara grała wciąż, a i dzwonek porwał się znów i gwałtował w najlepsze. Wszczął się potem hałas, krzesła się poruszały, papiery i książki leciały precz z etażek. Inżynier nasz ze zgrozą spostrzegł na środku pokoju swoją „Secret Doctrin" z wizerunkiem Bławackiej srodze zmaltretowanej, — profitki brzęczały na lichtarzach, pukania w lustra, ściany i stoły.

Iskier garście całe i gwiazdy jak rakiety snuły się przed nami. Był to już jednak dla nas widok powszedni!

Dochodzę teraz do opisu najpoważniejszego zjawiska, którem była materjalizacja w najmożliwszem, odpowiednio do warunków, uplastycznieniu swojem.

Zdarzyło się to czwartego dnia pobytu naszego w Proskurowie. Media były w doskonałem usposobieniu, towarzystwo dobrane i dobrze się zachowujące, noc księżycowa przepiękna. Mimo tylu sprzyjających warunków, objawów bardzo długo nie mogliśmy się doczekać. Zwątpienie tedy ogarnęło nas ponure Gospodarz rzucił pytanie, co za powód być może tak niefortownego rezultatu oczekiwań naszych. „Postać się materjalizuje, aby się wam ukazać w doskonalszej swej formie" odpowiedziano. Otucha w nas wstąpiła — czekamy.

Po jakich jeszcze dobrych pięciu minutach jedno medjum na zewnątrz ku nam, drugie po za kotarą uchyla szeroko jej połę. Wewnątrz

pomiędzy medjami majaczeje postać jakiejś staruszki czarno ubranej.

P. Munster zadaje pytanie, czy mógłby który z nas zbliżyć się do figury dla lepszego przypatrzenia się jej. Pozwolono na dwa kroki. Wysuwam się pierwszy i staję oko w oko z widmem. Widzę najwyraźniej staruszkę lat 70 w habicie zakonnym, którego kaptur okala jej twarz, twarz najistotniejszą, lekko zabarwionę na kolor cielisty. Drga cała i jakby zformowowana z jakiejś gotującej się massy. Usta dość wydatne trzęsą się, nosek chowa się i występuje, dziurka migają zamiast oczu, rąk z pod habitu nie widać, spód figury mętny. Zkusiło mnie przekroczyć pozwolenie i nieco nachyliłem się ku postaci, cofnęła się powoli i przyblakła. Gdym się wyprostował wypłynęła znów bliżej i wzmocniła swój wygląd. Usunąłem się bo towarzysze niecierpliwie domagali się swej kolei.

Każdy tedy chodził i przyglądał się tak długo, jak chciał, aż zmęczone medja poczęły mruczeć i jęczeć, co nas skłoniło do przerwania seansu.

Zasłony opadły. Słyszeliśmy przez chwilę jeszcze pieszczoty medjów, jakiemi darzyły „babcię“ na pożegnanie i wreszcie wszystko ucichło. Wpadliśmy za kotarę. Medja wsparte jedno na gim pogrążone w transie dyszały ciężko.

Po rozbudzeniu ich wszystko weszło w tryb zwykły. Goście się rozeszli, a my w jakie dziesięć minut potem, naturalnie w tym samym pokoju, zostawaliśmy w objęciach morfeusza.

To jest maximum objawów, do jakiego dotarliśmy podczas ośmiodniowego pobytu naszego w gościnnym domku pana Munstera. Bolał no nad tem mocno, że nie mógł nas uczynić świadkami jeszcze potężniejszego zjawiska, bo bywało i tak, że figura podobna, mocniej się zmaterjalizowawszy wychodziła na środek pokoju do wszystkich, rękę podała i pozwalała się dotykać. Niemożliwość utrzymania czegoś podobnego przy nas, wypadło tłumaczyć nadejściem seansów przez osoby z miasta, nie tyle ciekawe obaczyć objawy, ile tych, co z tak daleka przybyli je oglądać. Wszystkim gospodarz odprawy dać nie mógł.

A zresztą może przysadkowata kucharka państwa Munsterów „Tatjana“ pełniąca wedle wersji miejscowego inteligenta rolę ducha nie była podówczas dysponowaną? Czy ja wiem? Lub może rurki, szpilki, włoski transcedentalnej maszynki nie dobrze funkcjonowały? I to być może.

Ale co tam, nadzwyczaj zadowoleni i z tego, zwłaszcza, mając pozostawioną sobie najzupełniejszą swobodę kontroli i do tego stopnia, że któregoś wieczoru proponował przezorny do zbytku gospodarz opieczętowanie drzwiczek od pieca przypominając nam wykrzyknik jednego z medjów, że widzi indywiduum jakieś całe umorsane w sadzy.

W przeddzień naszego wyjazdu sprobowaliśmy jeszcze owej fotografji transcedentalnej przyobiecanej nam przez panią Jurk... Rezultatu takowej nie będę tu podawał. Uczyni to w Tygodniku Illustrowanym dzielący przygody p. Ign. Matuszewski, który dołączając do opisu rysunki ze zdjęć fotografiicznych, nada większe znaczenie rzeczy całej.

Na dworcu kolejowym, gdyśmy wyjeżdżali spotkał nas jegomość, Proskurowski przeciwnik medjumizmu. Ciekawie zaczął nas wypytywać o wrażenia i zgorszył się niepomiernie, gdyśmy mu wyrazili nasz zachwyt.

— Bójcie się Boga, panowie, głowyście potracili, ależ ja na to nie pozwolę, to hańba dla nauki.

I dalej że rozwodzić się nad naszą łatwowiernoscią i oburzać takiem braniem nas na kawał przez starego Munstera.

Drugi dzwonek uderzył trzeba siadać do wagonu. Żegnamy poczciwego proskurowjaka niemogącego się uspokoić i jeszcze za odjeżdżającymi wołającego:

— „A nie piszcie czasem o tem, bo wszystkiemu zaprzeczę, jak mi Bóg miły, i was osmaruję.“

— Wytrzymamy to jeszcze, odpowiadamy z wagonu. — Adieu!

Pociąg pomknął całą siłą pary.

Witold Chłopicki.

Książę Bismark i kobiety.

Jakąż ciekawą statystykę możnaby utworzyć, zbierając wszystkie prace, jakie ukazały się księciu Bismarku! Każdy niemiec, znający juz na wylot swego żelaznego kanclerza, staje się coraz obojętniejszym na ten nieustanny wylew komplimentów mała książeczka wszakże, która wyszła kilka dni temu p. t. „Bismark i kobiety“, zasługuje na uwagę zarówno z powodu oryginalności zapatrywań autora, Adolfa Kohut, jak i nowych szczegółów o życiu prywatnem pustelnika z Friedrichsruhe.

Pan Kohut zaczyna najpierw od przeglądu kobiet, które Bismark znał w okresach swej młodości i swego małżeństwa.

Bismark w 1846 r był mężczyzną imponującej powierzchowności. Utracił podówczas ojca Damy Mersenburga, gdzie na sejmie był reprezentantem szlachty obwodu Jerychów, z przyjemnością spędzały czas w jego towarzystwie.

Uważany był za dobrą partję, pisze, Kohut, chociaż jego majątki Kniephof i Schoenhausen były mocno odłużone i trzeba było całej zapobiegliwości i roztropności właściciela, by utrzymać równowagę w zawikłanych interesach.

Zadowolony z życia, jakie prowadził, składał konwenansowe wizyty paniom okolicznym, ale żadna z nich nie podbiła jego serca. Pozwalał sobie czasami nawet na żartobliwe uwagi z niektórych znanych sobie piękności. O jednej z nich np. pisze: „Poznałem się z nią, są chwile w których piękność ta ujmuje, ale jestem pewny, że prędko straci cerę i stanie się czerwona. Kochałem się w niej przez dwadzieścia cztery godziny“

Bismark bywał na harbatach tańcujących balach, koncertach i ani razu nie rozpłomieniły jego serca spojrzenia młodych panien. Wyjątek pod tym względem stanowiła tylko ta, która zostać jego żoną.

Kohut maluje z żartobliwem zacięciem opór, jaki okazywał zamiarom Bismarka przyszły jego teść, Puttkamer. Mimo to Joanna Puttkamer, która kochała młodego dyplomatę, została jego żoną w dniu 28 lipca 1847 r. Związek ten przyczynił się niemało do szczęścia w życiu Bismarka.

Nie przypuszczacie nawet, mawiał Bismark do swych przyjaciół,, wychwalając swą żonę, co ta kobieta zrobiła ze mnie.

Bismark nazywa żonę zawsze „kochane serce" jąk wiadomo, w listach, przyjętych przez p. Villemessent w Figarze, kanclerz nazajutrz po bitwie pod Sedanem opisywał żonie, jak Napoleon III. poddał się królowi. List kończył się temi słowy: „Do widzenia serce, pozdrów dzieci."

A jednak jego żona nie była bynajmniej ideałem kobiety np. dla francuza.

— Jak się ma hrabina ?— zapytał Bismar dnia 29 listopada 1870 r. książę Alfred.

— Hrabina ma się daleko lepiej od czasu, gdy syn jest zdrowszy, cierpi jednak na galofobią i pragnęłaby widzieć wszystkich francuzów wymordowanych. nie wyłączając małych dzirci, które nie są przecież odpowiedzialne za to, że mają niegodnych rodziców.

Księżna miała zwyczaj radzić się listownie męża we wszystkiem, nawet w kwestjach toalety, i co dziwniejsza, Bismark pomimo, iż rzecz działa się w czasie wojny, posyłał wskazówki w tej tak ważnej sprawie. Księżna nie miała nigdy na męża wpływu w rzeczach dotyczących polityki, wręcz przeciwnie było we wszystkich sprawach gospodarskich. Na dowód pan Adolf Kohut przytacza następującą anegdotkę:

Bismark był zaproszony z żoną do Ruegen przez księstwo Putbus. Podczas obiadu księżna rzekła do męża:

— Kochany Ottonie, nie jedz tej potrawy, bo może ci zaszkodzić.

— Czyście panie widziały kiedykolwiek tak idealnego męża, jak ja? — rzekł Bismark odsuwając półmisek.

— Pani i król jesteście jedynemi osobami, którym ulega żelazny kanclerz — rzekł ktoś z obecnych.

— Bynajmniej — odpowiedziała księżna — Otton ulega jeszcze komuś, gdy sobie inaczej poradzić nie może.

— I któż jest tym wszechmocnym na ziemi?

— Zgadnijcie. Ale nie. Nie zgadlibyście nigdy! Mój „żelazny małżonek" staje się potulnym wobec kucharza.

— Cóż chcecie! -- ozwał się tragicznym głosem książę Bismark. Czego nie robi dla spokoju w damu ten, kto zakosztował wojny po za domem.

Nie zatrzymując się na opisie stosunków księcia Bismarka do cesarzowej Augusty i cesarzowej Fryderykowej, przejdźmy do tej interesującej części dziełka, w której p. Kohut rzuca nowe światło na historję księcia Bismarka, Lucci i hrabiny Rossi.

Kanclerz — pisze autor — nigdy nie lubił pokątnych miłostek i pod tym względem różni się wiele od Gambetty i innych sławnych sławnych mężów stanu. oraz generałów. których tajemnicze zgony można wyjaśnić tylko z pomocą francuskiego przysłowia: „Cherchez la femme". Artystki i aktorki tak niebezpiecznie dla ludzi z wyższych sfer, nic z nim poradzić nie mogły. W teatrze bywał rzadko, a gdy się to zdarzyło był niewzruszonym na powaby syrem zakulisowych. Według moich wiadomości, był on zajętym w życiu tylko jedną artystką, mianowicie śpiewaczką Henryką Sontag, która w chwili zabrania znajomości z późniejszym kanclerzem, była żoną ambasadora, hr. Rossła.

„Pani Sontag, jak ją tu nazywają, przyjmuje codziennie o godzinie trzeciej całe wyższe towarzystwo frankfurckie. Garsoni z „Hotel de Russie", gdzie zamieszkuje, są mocno niezadowoleni, gdyż jada kolację o pierwszej w nocy z mrożonym szampanem".

A jednak pewnego razu wycieczka księcia na pole romansowe dała powód do rozmaitych domysłów. Sławna śpiewaczka Lucca, która wówczas znajdowała się u szczytu swej sławy, bawiła w roku 1865 w Iszlu, gdzie spędzał także sezon pzezez ministerjum pruskiego. Oboje znali się już w Berlinie.

Lucca spacerowała przed hotelem Elżbiety, gdzie mieszkł Bismark, gdy ten wyszedł w miękim kapeluszu i haweloku na plecach, zaledwie ujrzał spiewaczkę, zbliżył się do niej, i po przyjacielsku uścisnął jej rękę. Rezultatem tego spotkania było że Lucca namówiła Bismarka, żeby od fotografowali się razem. W kilka dni później fotografia przedstawiająca największego współczesnego męża stanu z największą współczesną artystką, siedząc obok siebie, była w rękach wszystkich. O niczem innem przez długi czas nie mówiono w Ischlu. Komentarze były tego rodzaju, iż w końcu rozkazano fotografowi zniszczyć kliszę i wstrzymać sprzedaż. Wymawiano Bismarkowi często tę awanturkę. W liście do przyjaciela, Andrzeja de Roman, tłómaczy się on z niej w sposób następujący: „Co się tyczy fotografji z Luccą, będziesz sądził mniej surowo, gdy się dowiesz, jakim wypadkiem to się stało. Dzisiejsza pani de Rhaden, pomimo że jest spiewaczką, należy do dobrego towarzystwa i stosunek ten nie może uchodzić za naganny".

Mimo to, od tej pory Bismark już nigdy nie fotografował się z kobietą.

Na zakończenie należy zanotować jako ciekawy szczegół, to kobiety wyrażały się często z niechęcią o starym kanclerzu, gdy stał u szczytu sławy a zachwycają się nim od czasu wyjazdu do Friedrichsruhe

---